

Maria

Małgorzata Łukowiak

Skrawek ziemi przed domem Marii porastają bujne krzewy. Są tam, od kiedy pamiętam – trudna do identyfikacji bryła wiecznie zielonych liści, pędy zdziuczonych róż, wątłe odrośle, które co wiosnę obsypują się kwiatami. Kilka razy do roku Maria wspina się na antresolę w garażu, ściąga stamtąd nożyce ogrodnicze i przycina gałęzie. Zakłada wtedy fartuch z grubego płótna, przewiązuje siwe włosy. Odcięte fragmenty roślin układa w workach, te ustawia na ulicy. Nazajutrz worki znikają.

Maria jest Włoszką, drobną, żwawą kobietą, nosi proste, czarne suknie, codziennie zagniatą ciasto na pizzę albo na makaron, filigranowa włoska *mamma*. Ma pięcioro dorosłych dzieci. W soboty i niedziele członkowie rodziny przetaczają się przez dom Marii w zmiennych konfiguracjach, barwni i hałaśliwi, parkują samochody na chodniku, tuż pod oknami, oznajmiają przybycie donośnym dźwiękiem klaksonu. Dzieci biegają, dorośli rozmawiają z nadmierną artykulacją. Maria rozlewa słodki likier do wąskich kieliszków, dla dzieci są napoje gazowane i lepkie, supermarketowe słodycze. Wczesnym popołudniem Maria podaje obiad, dymiącą zupę w wielkiej wazie, pizzę na spodach lśniących od tłuszczu. Po obiedzie Maria parzy kawę w metalowej kawiarence.

Synowie, synowe, córki Marii siadają na zielonej kanapie.

Przekrzykują się. Gestykują, trącają, piją kawę, jedzą praliny.

Maria siada na brzegu krzesła. Wyciera ręce w brzeg kuchennego fartucha, pociera podbródek wierzchem dłoni, jest szczęśliwa.

Historia Marii to historia wielu kobiet z jej pokolenia, młodych dziewcząt poślubionych emigrantom, wysłanych po ślubie za mężem do zimnego, deszczowego kraju, wiele kilometrów od domu. Ze swoim mężem, Giuseppe, starszym od Marii o kilka lat, Maria spotkała się przed ślubem ledwie dwa albo trzy razy.

Którejś niedzieli zjedli lody w kawiarni na rynku kamiennego miasta na włoskiej prowincji, a ich ojcowie uzgodnili szczegóły transakcji. I oto Maria budzi się rano w obcym łóżku, cicho wyslizguje się spomiędzy prześcieradeł. Rozsuwa ciężkie zasłony. Zamiast błękitnego nieba, cyprysów i zapachu tymianku Maria ma za oknem wysoką hałdę. Kołowrót kopalni pracuje z donośnym zgrzytem, a w powietrzu zawisła popielata mżawka.

Maria nie płacze, zagryza dolną wargę.

Bosa schodzi do kuchni, zagniata ciasto.

Do metalowej kawiarki nabiera wody z pompy w przylegającej do domu spiżarni. Jej mąż wstaje z łóżka, siada za stołem w podkoszulku, szelek spodni nie naciągnął na ramiona. Żąda kawy. Osłodzonej, z mlekiem.

Giuseppe Pavone, mąż Marii Castiglia.

Jest koniec lat 50. XX wieku, Belgia, Charleroi.

Maria rodzi kolejne dzieci, codziennie zagniata ciasto.

Francesco.

Massimo.

Gianfranco.

Gabriella.

Rosa.

Gustavo.

Maria co rano chodzi na targ. Pomidory, które układa w koszyku, nie pachną słońcem, smakują cierpko. Maria kupuje jajka, kupuje mąkę, z przekupkami porozumiewa się, gestykulując, nigdy dobrze się nie nauczy języka zimnego, deszczowego kraju, w którym spędzi resztę życia. Któregoś dnia zawraca w pół drogi na targ. W pośpiechu wyszła bez pieniędzy, trzaska metalową furtką do ogrodu, zirytowana popycha drzwi wiodące wprost do kuchni. Na kuchennym stole zastaje półnagi Giuseppe.

Giuseppe tego dnia rano powinien być w pracy, jak zwykle.

Sąsiadka Marii, pełna wigoru Elise, często tu wpada. Pożycza młynek do kawy, prosi o przepis na sos, prosi, żeby zająć się jej dziećmi, przez czas, kiedy ona, Elise, załatwi ważne sprawy w administracji osiedla.

Elise nigdy nie odwiedza Marii, kiedy w domu jest Giuseppe. Prócz tego jednego razu. Tego jedyne go razu, powtarza teraz Maria. Giuseppe wolno podciąga szelki spodni. Elise nerwowo gładzi włosy, wciska bluzkę w spódnice, klęka i zbiera buty z podłogi. Maria nie płacze. Wychodzi z kuchni, naciska ramię pompy w spiżarni, leje lodowatą wodę na dłonie, trze nimi oczy, policzki.

Kilka dni później Elise przyjdzie tu rano, zastuka do drzwi i powie:

– Maria, przepraszam.

Maria już nigdy nie pożyczy jej młynka do kawy ani nie zajmie się dziećmi. +

Krzątanina Marii nigdy nie ustaje. Zrywa się o świcie, stara się nie hałasować talerzami, sztućcami, Giuseppe nie lubi pobudki od kuchennych trzasków. Maria zamiata podwórze, spękane, kamienne płyty polewa wodą, później zajmuje się warzywami. Rodzice Marii, mieszkańcy prowincjonalnego włoskiego miasta, przysyłają pocztą nasiona – oberżynę, kabaczki, bazylię. Sadzone przez Marię zioła ani razu nie przetrwają zimy w deszczowym kraju, więc co wiosnę Maria rozcina nowe koperty z nasionami. Przekopuje ziemię w ogrodzie, sieje, podlewa, usuwa chwasty. W soboty Maria gotuje wodę w kilku saganach i robi pranie. Ociera czoło przedramieniem. Strużka potu spływa między jej łopatkami.

Któregoś dnia Giuseppe wcześniej wraca z kopalni. Niesie metrową sadzonkę, wręcza ją Marii.

– *Grazie* – mówi Maria.

Sama bierze łopatę – Giuseppe usiadł na ławce przed domem i patrzy – i sadi drzewko pod płotem ogrodu. W marcu wiśnię japońską obsypią różowe kwiaty.

– Giuseppe ma romans z wdową po Giancarlo – szepcą sąsiadki.

Wdowa po Giancarlo nie odpowiada na zdawkowe pozdrowienia Marii.

Giuseppe jedzie do Włoch i wraca z matką. Od śmierci męża teściowa Marii z trudem zмага się z kolejnymi dniami. Maria zakłada niedzielną suknię i wychodzi na dworzec kolejowy na powitanie. Zażywna kobieta wspiera się na ramieniu Giuseppe, Maria widziała ją do tej pory jeden raz.

– Dzień dobry, mamó – mówi Maria.

Maria bardzo się stara. Dba, żeby dzieci nie zakłócały drzemek babki – matka Giuseppe zajęła pokój frontowy, do tej pory używany jako miejsce zabaw.

W metalowej kawiarence gotuje dla teściowej kawę, a podając filiżankę, wchodzi do pokoju na palcach.

– Giuseppe schudł – mówi teściowa Marii.

Maria rozwiesza pranie na sznurach rozpiętych w ogrodzie. Matka Giuseppe usiadła na wąskiej ławce w cieniu wiśni. Wspiera się na lasce.

– Niedoprane – rzuca oskarżycielsko i unosi laskę.

Maria zbiera rozwieszane, wilgotne ubrania i ucieka do domu, płacząc.

Matka Giuseppe słabnie. Maria siada przy fotelu teściowej i ją karmi, serwując śniadanie, obiad, kolację. Rozczesuje siwe, starcze włosy i upina spinkami.

Giuseppe wraca z kopalni, pyta:

– Co z matką?

Maria odpowiada:

– Umarła.

•••

Wiem, że Maria Pavone się śmiała, tańczyła na weselach, śpiewała przy obieraniu jarzyn. Pijała półszklanki zimnego martini przed obiadem, a wieczorem siadała pod wiśnią japońską, na ławce. Kuchenny fartuch składała wtedy w kostkę i trzymała na kolanach.

Teraz Maria Pavone z każdym dniem się oddala. Jej twarz nie ma wyrazu. Nie wykluczam, że z obojętnością przyjęłaby wiadomość, iż w jej ogrodzie wycięto wiśnię japońską i wykarczowano krzaki.

•••

Starsze dzieci Marii wyprowadziły się już z domu, zostali Rosa i Gustavo. Gustavo jest najlepszym uczniem w klasie, jako jedyny z rodzeństwa nie mówi po francusku z zabawnym akcentem i nie przekręca wyrazów. Ze swadą rozwiązuje najtrudniejsze zadania, samorodny, matematyczny talent. Piękny Gustavo! Fala czarnych włosów nad czołem, tak czarnych, że niemal granatowych, i błyszczące oczy w ciemnej oprawie. Kiedy śpi, Maria wchodzi na palcach do jego sypialni i w milczeniu patrzy.

Co niedziela Gustavo prowadzi matkę na poranną mszę. Smutny kościół z dużych, kamiennych bloków wolno napętnia się wiernymi. Maria w odświętnej, ciemnej sukni i koronkowej chuście na głowie wolno kroczy główną nawą, opierając się na ramieniu syna.

Gustavo!

Chce studiować medycynę.

– *Mamma* – mawia. – *Mamma*, będę z tobą zawsze.

Kończy siedemnaście lat.

Giuseppe kupuje synowi motor. Już od dawna nie pracuje w kopalni. Prowadzi interesy, o których Maria nie ma pojęcia, bo to nie kobieca sprawa. Pod dom podjeżdżają samochody, mężczyźni wchodzi do frontowego pokoju, Maria podaje im kawę i dyskretnie zamyka drzwi. Mężczyźni szepczą albo wykrzykują, wychodzą, odjeżdżają, po czym Maria znajduje zwitek banknotów w puszcze w kuchennej szafie. Nie zadaje pytań. Rano idzie na targ.

Radość Gustavo z prezentu nie ma granic. Cieszy się jak mały chłopiec z nową zabawką. Na tylnym siedzeniu motoru przewozi Marię, później Rosę. Matka chwyta się za serce, siostra chichoce, ojciec wzrusza ramionami. Gustavo kilka razy objeżdża najbliższe ulice. Wreszcie ostrożnie odstawia motor do +

drewnianej szopy i przykrywa go kawałkiem starej zasłony z sypialni. Odtąd każdego dnia po powrocie ze szkoły z czułością przeciera chromowane części maszyny. Lekko wskakuje na skórzane siodełko. Maria patrzy na szczupłą sylwetkę syna pochylonego nad kierownicą, długo patrzy za nim, znikającym w wąskim przesmyku między domami.

– Gustavo! – pogodny, chłopięcy głos wrywa Marię z zadumy. – Gustavo!

– Jest w szopie – odpowiada przez otwarte okno Maria.

To Johan, przyjaciel Gustavo, uczą się razem do egzaminów semestralnych.

– Chcecie lemoniady? – Maria przechyla się przez parapet.

– Tak! – odpowiada Gustavo.

Gustavo w obcisłym, białym podkoszulku, piękny Gustavo! – myśli Maria. Gustavo, zamiast przerzucać kartki podręczników, znowu szlifuje z pasją swoją mechaniczną zabawkę.

– Do nauki! – zarządza Maria, otwiera szafę, wyjmuje dwie świeże cytryny, przechodzi do spiżarni, rytmicznie naciska ramię pompy, woda ścieka szeroką strugą do dzbanka. W domu Marii nadal nie ma bieżącej wody ani kanalizacji.

– Lemoniada! – Maria wystawia za okno dzbanek i dwie szklanki.

Odpowiada jej cisza. Ogrodowa furtka skrzypi na nienaoliwionych zawiasach.

Przybiega Johan, gestykuje. Maria podąża w kierunku, który wskazał.

Na zakręcie wąskiej, asfaltowej drogi między polami widać ślady błota, ślady opon potężnej maszyny rolniczej, ślady hamowania.

Ślady krwi.

Gustavo!

Maria czuje ucisk w uszach, wszystko zwalnia.

Krzyk.

Maria biegnie w stronę zabudowań. Krzyk.

Telefon.

Sygnal pogotowia. Reanimacja.

Krzyk.

Maria nie potrafi wypełnić formularzy. Ktoś jej wręcza podarte, brudne ubranie Gustavo.

Po pogrzebie Maria pakuje tekturową walizkę, tę, z którą tu przyjechała. Na dnie układa zdjęcie młodego mężczyzny o wysokim czole i ciemnych włosach, mężczyzny, który nigdy nie osiwieje i który nigdy nie będzie się starzeć.

– To właściwie wszystko – myśli Maria, ale w paroksyzmie zdrowego rozsądku nie zamyka bagażu.

Otwiera szuflady, wyjmując kilka sztuk bielizny. Otwiera swoje skrzydło garderoby – sąsiednie jest Giuseppe – i wyjmując zniszczoną niedzielną sukienkę i koronkowy szal. Z kuchennego krzesła zdejmując kolorowy fartuch.

Zatrząskuje zamki walizki. Obojętnie żegna się z Rosą.

– Masz pieniądze, mamó? – pyta Rosa.

– Tak – odpowiada Maria.

Idzie na dworzec, kupuje bilet do Antwerpii, wsiada do przedziału, zamiera w bezruchu i tak trwa do końca podróży. Nigdy wcześniej nie podróżowała, nie licząc przyjazdu do Charleroi z górą 30 lat temu.

Wysiada na szeroki peron pod łukowatym, szklanym sklepieniem. Ogłusza ją harmider dworca kolejowego, ratując głos Gabrielli:

– *Mamma!*

Gabriella mieszka tu z mężem Franco i trojgiem małych dzieci. Maria telefonowała do córki wieczorem, w dniu śmierci Gustavo. Wtedy Gabriella zaproponowała:

– Przyjedź, mamó.

Teraz Maria chłodno wita się z córką, niewidzącym wzrokiem omiata twarz zięcia.

Przechodzą przez obszerny hall dworca, Maria czuje słodki zapach pieczonych gofrów. *Gallettes. Galletten.* Gustavo tak je lubił, polane czekoladą. Maria staje przed budką z *galletten*. Kobieta, która wypieka słodczyce, starannie napełnia formy płynnym, żółtym ciastem. Zaciska pokrywę, ścina wyciekający nadmiar. Ciasto skwierczy. Rozchodzi się lepki zapach cukru, karmelu, Gustavo.

Gabriella delikatnie pociąga Marię za ramię.

– Mamó!

Maria najmuje się do sprzątanania.

Sprząta zagracone mieszkania w anonimowych dzielnicach z dala od centrum (wieczorem na trawnikach pod blokami harcują małe zające, Maria przystaje i patrzy). Sprząta obszerne, zimne domy na przedmieściach (partery domów są zastawione dębowymi meblami, na ścianach wiszą obrazy, a wokół okien rozpostarto ciężkie kotary, w pokojach na piętrze nie ma nawet ogrzewania). Bez wstępu sprząta cudze łazienki, bez ukłucia zazdrości sprząta tak dobrze wyposażone kuchnie, że nawet gdyby mogła, nie ośmieliłaby się w nich gotować. Wyciera cudze podłogi, myje cudze talerze, ściera kurz z cudzych mebli. Jest, a nie ma jej.

Mijają dwa lata.

W 1989 roku umiera mąż Marii. Maria wraca do Charleroi. Jest marzec, różowe płatki wiśni japońskiej spadają jak śnieg od podmuchów wiatru.

– Dom – szepce Maria.

+

Rosa ugotowała makaron. Maria zjada obiad ze smakiem. Piją kawę. Metalowa kawiarka nieco zaśniedziła, ale kawa smakuje doskonale. Po obiedzie razem myją naczynia, córka i matka. W czasie nieobecności Marii administracja osiedla zainstalowała w domach bieżącą wodę, ciepłe krople przyjemnie łaskoczą palce Marii.

Maria wchodzi na piętro domu, popycha drzwi sypialni. Tekturową walizkę stawia na podłodze, z rozmachem otwiera szafy.

Kopalnię dawno zamknięto, hałda porośla młodym lasem.

Kiedy Maria otwiera okno (w powietrzu wisi gęsty zaduch), nie słysząc monotonnego zgrzytu kopalnianego kołowrotu, ale daleki szum autostrady.

Wieczorem Maria idzie na cmentarz. W drodze powrotnej zahacza o dom kamieniarza. Zamawia grób dla Gustavo.

– Pilnie. Marmur. Zdjęcie – mówi Maria i wyjmuje z torebki zmiętą fotografię. Kamieniarz podaje cenę grobowca, pisze ją na strzępku kartki. Prosi o zaliczkę, kwotę kaligrafuje poniżej, trzymając ołówek w zniszczonych, zgrubiałych palcach. Maria wyjmuje przetartą, skórzaną portmonetkę. Otwiera ją nieostrożnie i na podłogę wypada gruby zwitek banknotów o dużych nominałach. Maria szybko zbiera pieniądze – każdy banknot to wiele brudnych antwerpskich mieszkań, które odwiedziła i sumiennie posprzątała. Odlicza kwotę, kładzie ją na stole, wstaje i wychodzi bez słowa.

– Za dwa tygodnie – kamieniarz woła do pleców Marii. Dotyka pogniecionych pieniędzy opuszkami palców.

Maria idzie do kościoła, wchodzi po krzywych schodach wiodących na skarpe, mijają uchylone drzwi do głównej nawy, przechodzi zwirowaną ścieżką do domu parafialnego. Dzwoni natarczywie. Otwiera jej łysy proboszcz, Maria oderwała go od kolacji. Proboszcz przeciera usta papierową serwetką, Maria bąka słowa powitania. Chwilę stoją w milczeniu, drobna kobieta w czerni i boży urzędnik, którego koszula, spodnie i pasek pamiętają czasy, kiedy nie miał wydatnego brzucha ani nalanego karku. Maria wsuwa zniszczoną, wypchaną banknotami portmonetkę w dłoń proboszcza. Odwraca się i odchodzi. Nigdy więcej nie pójdzie do kościoła – ani w niedzielę, ani w Wielkanoc, ani na ślub, ani na chrzest.

Maria wraca do domu i wyrzuca wszystkie ubrania, które zostały po Gustavo. Dom Marii odżywa.

Maria wypielila ogród, obsiała grządki, a teraz opróżnia frontowy pokój, ostatni azyl Giuseppe. Wyrzuca poóółkłe dokumenty, pamiątki po mężu, dla niej nie

więcej niż śmieci, stare lampy górnicze i polerowane łuski pocisków. Gazetki reklamowe, bezpłatne periodyki, stopy papieru, wszystko to kończy swój żywot w kontenerze dostarczonym przed dom przez przedsiębiorstwo oczyszczania miasta. Maria ociera czoło przedramieniem. Plastikowe opakowania po gotowych daniach, które służyły za popielniczki. Puste butelki po piwie Jupiler.

Pod stertą wionących stęchlizną gazet z programem telewizyjnym Maria znajduje puszkę po herbatnikach (na puszcze nadrukowano zdjęcie króla Baudouina, który w nieformalnym, czułym geście obejmuje szczupłą talię swojej smutnej żony Fabioli. Maria zna powód smutku królewskiej małżonki – Fabiola nie mogła mieć dzieci). Maria delikatnie podważa wieko pudełka. Puszka jest pełna.

To bardzo dużo pieniędzy, myśli Maria. Cel życia Giuseppe uwięziony w metalowej skrzynce. Maria zanosí puszkę do sypialni i wsuwa pod materac.

Pokój frontowy jest pusty.

Przyjeżdża Francesco i obkłada ściany tapetą, Maria wybrała motyw roślinny na zielonym tle. Gianfranco objeżdża z matką pobliskie sklepy. Kupują kanapę na wygiętych nóżkach – Maria widziała podobną w którymś z domów w Antwerpii – do tego stolik ze szklanym blatem i dwa fotele.

Dom Marii pachnie jedzeniem. Maria nie chodzi już na targ, codzienne zakupy robi Rosa w najbliższym supermarkecie. Część ogrodu Maria obsadziła kwiatami. Kilka razy do roku Maria wchodzi na antresolę w garażu, zdejmując wielkie nożyce i przycina nimi wybujałe krzewy.

Maria żyje życiem swoich dzieci. Gianfranco ma problemy z prawem, stracił pracę i wdał się w relacje z ludźmi ściganymi przez policję, dzieci Gabrielle zdają kolejne szkolne egzaminy. Massimo rozstaje się z żoną, Nathalie poznała innego mężczyznę.

Maria gotuje obiady, w milczeniu słucha zwierzeń, zajmuje się wnukami. Zdiagnozowano u niej astmę i musi regularnie brać leki.

– Wszystkie dzieci kocham tak samo – mówi Maria sąsiadkom.

Jest dumna tak samo ze wszystkich.

Nad kominkiem we frontowym pokoju wisi wielki portret Gustavo.

Rosa jedzie do Brukseli, wdaje się w romans z żonatym urzędnikiem, ma 39 lat, rodzi dziecko.

...

Kiedy myślę o życiu Marii, najwyraźniej widzę ostatnie 20 lat. Dom pełen gwaru, posiłki przy stole kuchennym trwające długie godziny. Dzieci Marii i ich problemy, które z łatwością rozwiązuje czas. Wnuki Marii z każdym rokiem coraz większe. Widzę Marię, drobną, żwawą kobietę, która się krząta z radością, sieka, gotuje, piecze. Ostatnie 20 lat jest tak jasne i wyraziste, jak gdyby poprzednie 50 nie miało żadnego znaczenia.

...

Chwila, z którą Maria zaczęła się oddalać, przyszła niepostrzeżenie. Któregoś dnia Maria zapomniała wziąć leki. I następnego. I jeszcze przez kilka kolejnych. Lekarz rodzinny na kolejnej domowej wizycie zastał na gzymsie kominka pełne opakowanie jakiegoś specyfiku, nienaruszone mimo upływu tygodni. Maria nie dodała soli do pizzy. Maria zapomniała o rondlu z sosem na włączonej kuchence. Maria zapomniała, żeby rano zmienić koszulę nocną na sukienkę.

Wnuki Marii podjęły studia i przestały przyjeżdżać tak często jak wtedy, kiedy były dziećmi. Gianfranco zaangażował się w wolontariat. Nathalie wróciła do Massimo. Rosa celebrytuje późne macierzyństwo.

...

Słowa, których się tylko domyślam, nie dają mi spokoju. Kilka zdań i to, co się czuje przez pierwsze godziny po ich wypowiedzeniu, po tym, jak się je usłyszało – to pozostanie tajemnicą Marii. Nie wykluczam zresztą, że Maria przyjęła bieg wydarzeń obojętnie.

Nie wiem – i nigdy się nie dowiem – czy któregoś wieczoru Massimo powiedział po prostu:

– Mamo, spakuj się, jutro wyjeżdżasz.

Czy może:

– Mamo, wystarczy ci jedna walizka.

Może nic nie powiedział, a kilka osobistych drobiazgów Marii spakowała Nathalie.

Rano wsiedli w trójkę do starego opla Massimo i w ten sposób Maria na zawsze opuściła swój dom. Dom z pompką w spiżarni, wiśnią japońską w ogrodzie i z widokiem z okna w sypialni na piętrze na zalesioną hałdę.

Stało się tak, ponieważ Nathalie wróciła do Massimo.

Kiedy się rozstawali wiele lat wcześniej, sprzedali wspólny dom, a pieniądze, jak to bywa, po prostu się rozeszły.

Nathalie i Massimo, teraz oboje po pięćdziesiątce i drugi raz w życiu w charakterze pary bezdomnych nowożeńców, zamieszkali u Marii, w pokoju frontowym. Maria przyjęła ich z radością, być może zresztą w jej świecie nigdy się nie rozchodzili.

Nathalie natomiast nie mogła znieść Marii. Drażniła ją krzątająca teściowej, tłusta, ciężka kuchnia leciwej Włoszki, makarony, eskalopki i pizze, bo Maria, mimo zaników pamięci, nadal prowadziła dom. Działy jej na nerwy drobne natręctwa staruszki i chwile, kiedy Maria zniknęła w swoim świecie.

Nie dochodziło do kłótni. Nathalie wieczorami szeptała coś wzburzonym głosem do Massimo.

Nie wiem, czy w noc przed wyjazdem Maria stała w oknie sypialni i patrzyła na swoją wiśnię. Różowe płatki pokryły trawnik grubym kożuchem jak pleśnią. Uchylona ogrodowa furka skrzybiała – być może – na wietrze.

A może tej ostatniej nocy Maria siedziała w kuchni przy stole i piła kawę ze starej kawiarki albo ostatni raz położyła się w małżeńskiej pościeli i zapadła w głęboki sen, jak w śmierć.

Rano Massimo wrzucił jej starą walizkę do bagażnika samochodu, pomógł matce zapiąć pas na tylnym siedzeniu, a po godzinie wrócili, tylko on i Nathalie.

Następnego dnia pod mieszkanie Marii podjechała ciężarówka opatrzona logo Maison de Repos, w którym to domu zamieszkała Maria. Pobyt w takim ośrodku jest odpłatny, a skromne środki, którymi dysponowała Maria (co miesiąc wypłacano jej emeryturę górniczą Giuseppe) okazały się niewystarczające na pokrycie kwoty wpisu. Sumę tę można jednak było uiścić również z tego, co uzyska się ze sprzedaży ruchomości sędziwej pensjonariuszki, jej mebli czy biżuterii.

Kilku rosnących młodzieńców wynosiło po kolei życie Marii – zieloną kanapę na nóżkach w kształcie łap zwierząt, zniszczony kuchenny stół i drewniane krzesła. Później szafę garderobianą z sypialni, szerokie łóżko małżeńskie. Puszka po herbatnikach ze zdjęciem smutnej Fabioli i jej męża Baudouina tkwiła, nienaruszona, między ramą łóżka a materacem. Któryś z tragarzy wsunął ją, nie sprawdzając +

jąc, co zawiera, do szuflady nocnego stolika, a szufladę zakleił brązową taśmą, żeby w transporcie nie uległa uszkodzeniu.

Chociaż nie, być może tragarz otworzył puszkę i głośno się roześmiał na widok zawartości, teraz to nie ma znaczenia. Kto wie, może nawet zawahał się przez chwilę, czy tę fortunę w dawnej walucie uda mu się wymienić na euro. Być może cenny ładunek wyniósł pod obszerną bluzą, a później ukradkiem włożył pod siedzenie ciężarówki. Kiedy dojechali do celu, przeniósł paczkę, rozglądając się na boki, do swojego przerdzewiałego renault.

Być może tak, być może inaczej, teraz to nie ma znaczenia.

Dzisiaj podjeżdżam pod dom Marii. W ogrodzie przed domem nie rosną już żadne krzewy. Ziemię wyrównano i posadzono kępki kolorowych fiołków, w równych rzędach. Nie ma już pokoju frontowego, wyburzono ścianę i powstało obszerne pomieszczenie, nowoczesna, otwarta kuchnia z livingiem. Wiśnia japońska też nie oparła się siekierze Massimo. W miejscu, gdzie rosła, stoi ogrodowa fontanna, woda wypływa ze starej, domowej pompy pomalowanej w kolorowe motywy. Nie umiem być tu spokojnie, siedzieć na jasnych, skórzanych kanapach, nie lubię kawy z ciśnieniowego ekspresu Nathalie.

Ja, Rosa Pavone, córka Marii.

Moja córka, Maria, też nie lubi tego miejsca.